

Linia zmierzchu, czyli czego uczy nas śmierć

1 listopada 2021

Nasza śmierć nie uczy nas niczego. Grecy mówili, że „gdy my jesteśmy, to jej nie ma, a gdy ona jest, to nie ma nas”. Nie ma więc kiedy jej nauk pobierać. Przynajmniej w standardowym rozumieniu nauczania. Wiele uczy „dotykane śmierci”; doświadczenia ze stanu śmierci klinicznej, sytuacji beznadziejnych, kiedy to pewni jesteśmy, że życie za chwilę się skończy czy rozmaite dziwne sytuacje na pograniczu snu i jawy. Tzw. nauka usiłuje to badać i lokować jakoś w naszym „racjonalnym” obrazie świata, ale rezultaty są mierne.



Człowiekowi, który doświadczył takiego „dotknięcia śmierci” nauka właściwie niczego, poza informacją, że jest jednym z ca 15% ludzi, którzy tego doświadczyli, zaoferować nie potrafi. On wie i czuje, że jest to coś innego niż ubrane w mądre słowa wyobrażenia ludzi, którzy tego nie przeżyli. To są naprawdę nietransferowalne odczucia z innego świata. Fajnie się nich czyta, ale kiedy usiłujemy to przemyśleć, nasza wyobraźnia okazuje się równie bezradna, jak przy próbie wyobrażenia sobie zjawisk kwantowych czy wielowymiarowych przestrzeni.

Śmierć innych ludzi uczy nas znacznie więcej. Literatura pełna jest opisów śmierci „pięknych”, takich „sensownych”, bo jakoś pożytecznych dla ludzi/idei bliskich umierającemu. To nośny temat i wychowanie patriotyczne (np. szkolne lektury) chętnie i zrećcznie go wykorzystuje. Jednak nie istnieje coś takiego, jak ból „zbiorowy”. Naród stawia swym bohaterom pomniki, nadaje ulicom ich imiona, ale np. z bólem rodziców, którzy stracili dziecko, porównać się tego nie da.

Skończył się pościg wśród kwiatów
w oklaskach i uśmiechach.
Pierwszy pocisk rozplątał,
roztrzaskał człowieka.

Odbyło się bez parady
do koca zebrano szczątki
nie miał kto mowy układać
postawiono krzyż na pamiątkę.

I poszli koledzy dalej
by snu mogiły nie zakłócić
A w Warszawie matka się modliła
by wrócił, by wrócił...

To wiersz Grób nad Chianti Henryka Mierzwinińskiego, który czytałem w wydanej we Włoszech nielegalnej wówczas książce „Polskie drogi” przed wielu laty. Byłem dzieckiem i nie rozumiałem go tak jak dziś. Jakoś musiał mi jednak się w pamięci przechować, bo tak ni stąd, ni zowąd przypomniał mi się dziś rano. Może nie jestem dostatecznie patriotyczny, ale dla mnie wszelkie opowieści o dumie rodziców z faktu, że ich dziecko zmarło za Ojczyznę czy ideę – są wynaturzeniem. W odczuciach po śmierci bliskich dominuje ból, poczucie niewypełnianej już pustki, straconych bezpowrotnie chwil, które można było z nimi spędzić i podobne uczucia. Na dumę miejsca pozostaje niewiele. Nigdy w dorosłym życiu tak do końca nie rozumiałem doniosłości ani piękna polskiej śmierci „Za Waszą i nasza wolność” ani np. niemieckiej „Fuer Fuehrer

und Vaterland" (szczególnie wymienianych w tej kolejności). Tragedią naszej ludzkiej natury jest chyba niemożliwość poskładania sobie jakiegokolwiek spójnego obrazu świata. Również w tym, finalnym, wymiarze.

Śmierć nasza codzienna. Dziś w Polsce spotykamy najczęściej inny, bardziej „zwyeczajny” rodzaj śmierci; wypadki, choroby czy po prostu starość to główne jej przyczyny. Dominujący w naszej kulturze konsumpcjonizm i skupianie się na przeżywaniu rzeczy/uczuć miłych wypchnęły śmierć poza naszą codzienność. Żyjemy tak, jakby jej nie było. A ona zaskakuje nas, zabierając mniej i bardziej nam bliskie osoby. Kiedy odchodzą, pojawia się refleksja. I pytania. Czy można było to życie przedłużyć? Czy na pewno zrobiliśmy wszystko, co było można, by bliska nam osoba odchodziła w spokoju? Bez bólu? Takich i podobnych pytań jest na ogół znacznie więcej. I dobrej odpowiedzi nie znajdujemy. Jest, oczywiście – powiększająca się, niestety – grupa ludzi, którzy tak mocno zapatrzyli się w dobra doczesne i swoje (potem okaże się, że pozorne) bezpieczeństwo materialne, fizyczne (np. zdrowie) czy np. „smakowanie życia”, że refleksji takich nie mają. Większość z nich obudzi się kiedyś w sytuacji, kiedy chętnie oddałaby zgromadzone dobra i zapomniała o „smaczkach” za chwilę bliskości z tymi, których już nie ma. Ale jest już za późno. I żyją dalej, zastanawiając się czasem „po co”. Bo nie każdy ma jakiś cel zastępczy; pasję, wnuki czy choćby podróżę.

Co o śmierci wiem? Niewiele. Wielu mądrych ludzi dostrzegało przeróżne aspekty naszego myślenia o śmierci. Nie potrafiłbym jasno powiedzieć, co ja z ich przemyśleń wyniosłem. Z naszego Conrada pewnie zmęczenie życiem Kurtza z „Jądra ciemności” i bohatera noweli „U kresu sił”, który myśli o pieniądzach, jakie po jego śmierci z ubezpieczenia otrzyma jego córka. Pamiętam węgierski film pt. (chyba) „Jastrząb”, którego bohater przygnieciony dużą liczbą małych w istocie kłopotów nie daje rady i popełnia samobójstwo. Taki współczesny „ból istnienia”. Ogromne wrażenia zrobiła na mnie czytana (chyba w

latach 90.) książka Fritza Zorna (to pseudonim; Zorn to po niemiecku m.in. gniew) „Mars”, której autor opisuje swoją śmiertelną chorobę i szuka winnych. Żaden z bohaterów tych dzieł niczym szczególnym się nie wyróżniał. Po prostu zwykli ludzie w niezwykłych sytuacjach.

Wiara. Tak zwykli, jak moi bliscy, których już nie ma. Oni umierali „zwyczajnie”. Typowo, np. po ciężkiej chorobie, mniej typowo w wypadkach czy podejrzanym samobójstwach, ale nikt nigdy nie wpadł na pomysł, by ich historie opisywać. Jeśli wierzyć hinduskim wyobrażeniom „życia po życiu” i teorii reinkarnacji, mieli nawet więcej szczęścia, bo będą szybko zapomniani i prędzej dostąpią „nirwany”, roztapiając się w nieskończoności i unikając ponownej inkarnacji. Chyba jednak są i takie teorie, gdzie człowiek „ewoluuje” przechodząc od jednej do drugiej inkarnacji w zależności od zgromadzonej Karmy.

Wiara w życie po śmierci jest powszechna i stanowi centralną część fundamentu każdej religii. Podobnie jest z kontaktami z „tamtą stroną lustra”. I prawie wszędzie wierzymy w to, że możemy coś dla naszych zmarłych zrobić. W religiach „objawionych” życie również nie kończy się śmiercią; przechodzimy tylko do innej jego formy. Bliżej nieokreślonej szczęśliwości wiecznej w chrześcijaństwie i judaizmie oraz wiecznej uciechy w islamie. I my też wierzymy, że możemy naszym zmarłym pomóc; pamięcią o nich, ofiarą (palenie ognia na ich grobach, to chyba właśnie taka ofiara), a przede wszystkim modlitwą. Do tej ostatniej potrzebna jest jednak wiara, o którą dziś coraz trudniej. Wypchniętego z naszej świadomości Boga usiłujemy zastąpić stosownymi do naszego statusu majątkowego nagrobkami. Gdyby miały one być miarą naszej wiary i miłości do zmarłych, to można by było być spokojnym o przyszłość naszych dzieci i wnuków. Jak jest – ocenić może każdy we własnym sumieniu.

Święto. Dla mnie Święto Zmarłych to okazja wyimaginowanej, takiej tylko w mojej wyobraźni, rozmowy z Nimi. Rozliczenia

się ze wszystkich draństw, które im kiedykolwiek uczyniłem, przeproszenia za brak dostatecznej wrażliwości na Ich potrzeby, przegapienia okazji by zrobić dla Nich coś dobrego i przede wszystkim powiedzenia Im jak bardzo jest mi Ich brak. I jeszcze prośba. Nie o wybaczenie, lecz o zrozumienie mojej małości wobec spraw ostatecznych. Nie wiem, czy moi bliscy potrafią pomóc mi żyć bez Nich, ale chciałbym Im powiedzieć, że o Nich pamiętam. I choć nie wiem, czy w tym akapicie nie piszę bzdur, które jakiś mędrzec wytknie mi jako sentymentalizm czy nadmierną, a nienaukową, wrażliwość, to pójdę jutro i przez następne dwa dni na cmentarze, by odwiedzić ich groby i zapalić znicz. Bo tak zostałem wychowany i do tego się przyzwyczaiłem.

Tytuł tego tekstu to, marna prawdopodobnie, parafraza tytułu powieści Conrada „The shadowline”, który tłumaczony był zwykle jako „Smuga cienia”. Dla mnie „smuga” to coś, co przechodzi i po czym znów wkraczamy w słońce. Tytułową „Linie zmierzchu” przekraczamy zwykle tylko raz w chwili, gdy konstatujemy, że w telefonie więcej mamy numerów nieaktualnych niż aktualnych, a większość bliskich na cmentarzu. Po jej przekroczeniu zmieniamy się nieporównywalnie bardziej niż konradowski bohater po dopłynięciu do celu.

Autorstwo: Waldemar Korczyński

Zdjęcie: Pixabay (CC0)

Źródło: StudioOpinii.pl